

CÓRKA SĄSIADÓW

A'zam Rahnoward Zarjab (1944–2020) — współczesny nowelista i powieściopisarz afgański tworzący w języku dari¹. Choć jego poglądy należałoby określić jako lewicowe, nie zawsze było mu po drodze z budowniczymi nowego ustroju w latach 80. XX w. Afganistan opuścił w 1992 r., tj. po upadku ostatniego socjalistycznego rządu Mohammada Nadżibullaha, udając się na emigrację do Francji, w której przebywała już wówczas jego żona, Spażmaj Zarjab (1949?–), również zajmująca się pisarstwem. Do kraju powrócił dziesięć lat później, po odsunięciu od władzy talibów. Jego twórczość obejmuje zarówno formy krótkie (opowiadania), jak i dłuższe (powieści), i charakteryzuje się wnikliwą obserwacją rzeczywistości oraz prostym, wręcz kolokwialnym językiem, pozbawionym zbędnego balastu kunsztownych dekoracji typowych dla twórców starszego pokolenia. Jak sam stwierdził w jednym z wywiadów, materiału do opowiadań dostarcza mu codzienność, a także praca, ponieważ w latach 70., po powrocie ze studiów w Wielkiej Brytanii, zatrudnił się w miesięczniku „Żłandun” („Życie”) jako redaktor odpowiedzialny za kronikę kryminalną. Tutaj należałoby także szukać inspiracji do scenariusza do filmu *Achtar-e maschara* („Achtar-klaun”) z 1981 r., będącego gorzką satyrą na głęboką przepaść dzielącą afgańską klasę wyższą od resztę społeczeństwa w latach 70. XX w.

Twórczość Zarjaba nie jest w Polsce właściwie znana poza środowiskiem iranistycznym. Nic dziwnego, skoro do tej pory ukazały się raptem przekłady dwóch jego opowiadań – *Konikorad* (*Dozd-e asp*) oraz *Studnia* (*Czah*) – przygotowane przez Bohdana Bielkiewicza².

(M.K.)

* * *

Pojawili się z początkiem wiosny i zaraz też zostali naszymi sąsiadami. Miałem wtedy siedemnaście lat i nadal się uczyłem. Przepelniała mnie wtedy radość życia. Czuję ten entuzjazm tak typowy dla początków młodości. Czuję tę radość, która pobrzmiewała szaleniem w sercu – nieznaną, może nawet związaną z faktem poszukiwania tego kogoś. Serce słyszało każdego dnia ów głos: „Szukaj... No, jeszcze raz... Znajdziesz, znajdziesz wreszcie!”

A potem zobaczyłem ją, córkę naszych sąsiadów. Ona także wciąż się uczyła. W jej oczach czarnych niczym szkolny mundurek dało się dostrzec taki magnetyczny błysk. Gdy patrzyła na kogoś, to jakby opowiadała nimi bajki – bajki tak magiczne, że rzu-

¹ Ahmadi, Wali. *Modern Persian Literature in Afghanistan: Anomalous visions of history and form*. Routledge, 2008, s. 93nn; M. Chafi. *Dastanha-je Emruz-e Afqanestan*. Enteszarat-e Tarane, Tehran, 1376 (1997/1998), s. 132; M.-H. Mohammadi. *Tarich-e tahlili-je dastannewisi-je Afqanestan*. Naszr-e Czesme, Tehran, 1386 (2007/2008), s. 11nn; A. Razawi-Qaznawi. *Nasr-e dari-je Afqanestan: Si qesse*. Enteszarat-e Bonjad-e Farhang-e Iran, 1357 (1978/1979), s. 285.

² A'zam Rahnoward Zaryab. *Konikorad*, tłum. B. Bielkiewicz, „Przegląd Orientalistyczny”, nr 3–4 (123/124), 1982, s. 173–181; A'zam Rahnoward Zaryab. *Studnia*, tłum. B. Bielkiewicz, „Przegląd Orientalistyczny”, nr. 1–2 (137/137), 1986, s. 75–81.

cały na człowieka czary – niczym opowieści z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Te jej oczy zaczarowały i mnie.

Po raz pierwszy zobaczyłem ją pewnego dnia, rano. Zbierałem się do szkoły. Wyszedłem na ulicę. Ona także. Mój dom był dokładnie na wprost jej. To tamtego dnia dostrzegłem te jej oczy – oczy, które opowiadają bajki. Zaczarowały mnie. Spuściła głowę i ruszyła przed siebie, a mnie serce zaczęło mocniej bić. Poczułem, że kręci mi się w głowie. Oparłem się o mur i zupełnie bezwiednie powiedziałem do siebie: „Boże!”

Serce wypełniała radość typowa dla kogoś, kogo przewidywania się spełniły. Szczelnie wypełniała każdy jego zakamarek. Śmiała się i podskakiwała:

– Nie mówiłam? A nie mówiłam? Jest! Wreszcie znalazłeś.

O mur musiałem opierać się chyba przez dłuższą chwilę, bo gdy z bramy wyszedł ojciec, zdziwiony przyjrzał mi się dokładnie i zapytał:

– Co to? Nie idziesz dziś do szkoły? Rozumiesz, wreszcie...

Nie dosłyszałem reszty zdania, ponieważ natychmiast odpowiedziałem:

– Tak, wreszcie mi się udało!

Ojciec trochę się zdenerwował:

– Co ci się udało?

Znów nie dosłyszałem reszty zdania:

– Co?

Tym razem już wrzasnął:

– Nie idziesz dziś do szkoły?!

Rozejrzałem się głupio dookoła:

– Nie, nie idę... Co? Idę, właśnie idę...

– No to idziesz czy nie?

To pytanie zbiło mnie zupełnie z tropu:

– Co? Nie? Tak?... Nie wiem...

Zaraz jednak ruszyłem żwawo przed siebie, czując cały czas jego mocno zaskoczony wzrok na plecach. Tamtego dnia czułem się inaczej niż zwykle. Czułem taką bezgraniczną radość. Miasto wydało mi się zbyt małe. Chciałem gdzieś pójść. Chciałem krzyknąć w sercu szerokiego stepu, między polami pszenicy, u podnóża gór, krzyknąć: „Co za oczy! Ach, Boże, co za oczy!”

No ale nie mogłem tego zrobić. Chcąc nie chcąc, musiałem iść przecież na lekcje. W klasie byłem cały czas w półprzytomny. Nie rozumiałem, co inni mówią. Słowa nauczyciela docierały do mnie niczym niewyraźny szmer z oddali. Szept kolegów przypominał bzyczenie pszczół. Wciąż miałem w pamięci te jej oczy. Zajmowało mnie tylko to jedno – oczy. W pewnym momencie poczułem, że nauczyciel kładzie mi rękę na ramieniu i mówi:

– Dobrze, ja teraz wyjaśnię, co to jest przymiotnik, a ty podasz jakiś przykład.

Wyprostowałem się, a czoło pokryło się kroplami potu. Powiedziałem do siebie: „Przymiotnik? Co to jest przymiotnik?”

Nauczyciel tłumaczył:

– Przymiotnik to taki wyraz, który opisuje cechę jakiegoś przedmiotu lub jakiejś osoby. Dobrze, teraz twoja kolej. Podaj przykład jakiegoś przymiotnika

W głowie cały czas mi szumiało. W uszach cały czas dzwoniło. Jej oczy, magnetyczny blask jej oczu. Wciąż je widziałem. Poruszyłem się tylko na krześle i, nie wstając z miejsca, mimowolnie odpowiedziałem:

– Na przykład... Na przykład oczy!

Nauczyciel zapytał rzeczowym głosem:

– Co ty mówisz? Oczy? Od kiedy to oczy przymiotnik?

I wtedy, gdy poczułem, że krople potu spływają mi po skroniach, znów mimowolnie odpowiedziałem:

– Na przykład czarne oczy!

Nauczyciel wrzasnął:

– Zwariowałaś!

Zmieszany rozejrzałem się głupio dookoła:

– Zwariowałem? Tak, zwariowałem... Co? Nie... Nie... Nie zwariowałem.

Klasę wypełnił śmiech kolegów. Nauczyciel nachylił się nieco w moją stronę, dotknął mojego spoconego czoła i spytał:

– Źle się czujesz?

– Nie, co? Tak.

– Lepiej będzie, jeśli pójdziesz do domu.

Wstałem i już szedłem w stronę drzwi, gdy zawołał za mną:

– Nie bierzesz książek?

Nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Zmarszczyłem tylko czoło i głupkowato zapytałem pod nosem:

– Książek? Co?

Zdziwił się jeszcze mocniej:

– Tak, książek? Nie zabierzesz ze sobą książek do domu?

Podszedłem do ławki. Szybko zebrałem swoje rzeczy i opuściłem klasę. Gdy wyszedłem ze szkoły, mżyło, a w powietrzu unosiła się lekka mgła. Ludzie szybko szli tam i z powrotem. Uspokoilem się, gdy zacząłem oddychać wilgotnym powietrzem. Długo włóczyłem się bez celu po ulicach. Wszędzie widziałem jej twarz. Widziałem magnetyzm jej oczu – jej czarnych oczu. Gdy nadeszło wreszcie południe, ruszyłem w stronę domu. Nasza uliczka tonęła cała w takim błocie, że nie sposób było przez nią przejść. Buty chlupały „chlup, chlup, chlup”. Tu i tam zrobiły się duże kałuże. Nagle znów ją ujrzałem. Stała pod murem. Czarny mundurek był już dość mokry, bo przylegał do jej ciała, a oczy, te magnetyczne oczy znów opowiadały bajki. Zrozumiałem, że nie może iść ze względu na wodę, która zebrała się w tym miejscu. Podszedłem. Spojrzała w moją stronę i zaśmiała się. Odpowiedziałem uśmiechem.

Powiedziała:

– Nie możemy iść dalej. Co robimy?

Serce zaczęło mi mocniej bić. Poczułem bezgraniczną radość, a ona znów się odezwała:

– Co za koszmarna uliczka!

Gorliwie przytaknąłem:

– No tak. Co za koszmar.

– Więc co robimy?

Rozejrzałem się:

– Potrzyj mi książki. Przyniosę tamten kamień, położymy go tu i przejdziemy po nim.

– Dobrze!

Zapadłem się po kostki w błocie i wodzie. Kamienie były ciężkie. Z trudem udało mi się przytaszczyć jeden i położyć pośrodku dużej kałuży. Ręce miałem całe ubłocone. Ubranie też. Ona tylko stała spokojnie i wciąż się uśmiechała. Cały czas mżyło. Przytaszczyłem drugi

kamień. Potem trzeci. Nagle poślizgnąłem się i wpadłem wprost w błoto. Parsknęła gromkim śmiechem. Wstałem zmieszany, podczas gdy ona z trudem próbowała się opanować:

– Nic ci nie jest?

Wstyd nagle przysł. Odpowiedziałem niczym zwycięzca, który maszeruje przez pole bitwy:

– Nie!

Gotowe. Ona przeszła na drugą stronę ogromnej kałuży, a ja byłem cały brudny. W butach chlupała woda „chlup, chlup, chlup”. Miałem ręce całe w błocie, a ona zwiesiła tylko głowę z szyderczym uśmiechem na ustach. Gdy zbliżyliśmy się do jej domu, zatrzymała się. Przez chwilę przyglądała mi się uważnie. Znow się zaśmiała:

– Wiesz co?

– Nie, co?

– Głupi jesteś.

Z trudem przełknąłem ślinę:

– Co? Głupi?

– Tak, i to bezdennie!

Jeszcze raz się zaśmiała i weszła do siebie. Odjęło mi mowę. Nie mogłem ruszyć się z miejsca. Cały czas mżyło. Nie wiem, jak długo tak stałem. Przechodnie patrzyli na mnie zdziwieni. Raptem otwarła się brama naszego domu i wyszedł z niej ojciec. Zobaczył mnie i zaskoczony zapytał:

– Co ci się stało?

– Nic.

– To dlaczego jesteś cały w błocie?

Przyjrzałem się swojemu ubraniu. Rzeczywiście, cały byłem brudny. I jeszcze ciekło ze mnie. Spojrzałem w niebo. Poczułem, że krople deszczu spadają mi prosto na twarz. Zaśmiałem się raz, potem drugi. Mój śmiech niósł się echem po ulicze. Zapytałem go:

– Pytasz, co mi się stało? Dlaczego jestem cały w błocie?

Ojciec chwycił mnie mocno za ramię:

– No, co ci jest? Co ci się stało?

Serce wypełniło się głębokim smutkiem. Zwiesiłem głowę i cicho odpowiedziałem:

– To dlatego, że jestem głupi... bezdennie głupi.

Gdy to powiedziałem, poczułem zaraz jak pierwsza fala gwałtownej powodzi przelewa się ponad marzeniami mojej młodości, które wciąż jeszcze nie rozkwitły.

(1967)

Z języka dari przełożył
MATEUSZ KŁAGISZ